EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, I stycznia 1933 R. | NR. 1 (14)

Jesteśmy osaczeni

Zwiastunki wielkiej przemiany

Zarażona przystań

Rozbrojenie w Genewie i w Polsce

Kino, teatr, literatura

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy.

AUTORZY: WASOWSKI. KRAHELSKA. LUKREC. ROGOWICZ. WIDZ. KRAWCZYŃSKA. JAMPOLSKI. STRUG. GROSTERN.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ZARAŻONA PRZYSTAŃ

Istnieje w Poznaniu tow. „Przystań", zajmujące się ułatwianiem powrotu na drogę uczciwej pracy moralnie upadłych dziewcząt, czyli, mówiąc językiem mniej kwiecistym, prostytutek. Ta społecznie pożyteczna w swych celach instytucja na zebraniu, odbytem w sali Domu św. Wojciecha, uchwaliła, według informacji prasy poznańskiej, dwa godne uwiecznienia wnioski:

„Zebranie prosi Kasę Chorych o niewypłacanie zapomóg w wypadkach zawinionych chorób wenerycznych...

„Zebranie prosi Magistrat m. Poznania ze względów wychowawczych o jaknajskromniejsze odżywianie zarażonych dziewcząt w czasie ich leczenia w szpitalu i o zniewolenie ich w miarę możności do zwrotu kosztów leczenia"...

Zacni opiekunowie — a prawdopodobnie opiekunki — chorych prostytutek, nie wskazują sposobu, w jaki możnaby stwierdzić, czy choroba weneryczna danej pacjentki jest *zawiniona*, czy *niezawiniona*. Mniejsza o to, jest to drobiazg wobec potworności samych rezolucyj owego zebrania, *zarażonego* duchem znęcania się nad ludzką niedolą i szydzenia z niej (zwrot kosztów leczenia!)

My ze swej strony prosimy Kasę Chorych i Magistrat m. Poznania, aby, odrzucając barbarzyńską petycję, zaleciły katolickim kierowniczkom „Przystani" dezynfekcję moralną własnych sumień, np. drogą wspólnego czytania ustępu z Ewangelji o potraktowaniu przez Chrystusa jawnogrzesznicy. Leczenie to powinno się odbywać *na koszt własny* i w tymże Domu św. Wojciecha — aż do zupełnego wyzdrowienia opiekunek „Przystani".

WYMOWNE CYFRY

Memorjał, złożony przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, p. ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego, zawiera szczegółową analizę zmian, jakie w ustawie o stosunkach służbowych nauczycielstwa wprowadziło rozporządzenie P. Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 21 października ub. r. Memorjał wykazuje, że nowe postanowienia budują zasady stosunku służbowego nauczycielstwa „nie w ramach pełnego doń zaufania, lecz — z pominięciem właśnie tej zasady — obdarzają całą pełnią zaufania i zupełną swobodą ruchów jedynie władze szkolne wszystkich instancyj i konsekwentnie na te władze wkładają cały ciężar odpowiedzialności za stan i rozwój szkolnictwa". Dalszy wywód memorjału zawiera wymowne argumenty i wysoce interesujące cyfry:

„Nauczyciel z roli czynnika samodzielnie odpowiedzialnego został sprowadzony do roli podrzędnej przez odebranie mu tych prerogatyw, które stawiały go w sprawach pedagogicznych i dydaktycznych narówni z czynnikiem nadzoru szkolnego, jako element, w równym stopniu dojrzały i odpowiedzialny. Toteż nad faktem takiego poniżenia swej roli nauczycielstwo nie może przejść do porządku dziennego i nietylko w obronie godności zawodowej, ale — i przedewszystkiem — w trosce o szkołę i jej atmosferę wychowawczą musi przestrzec naczelne władze szkolne przed groźną w swych następstwach fikcją, jaką jest pełne poleganie na odpowiedzialności skromnego liczebnie i przeładowanego ogromem prac administracyjnych zespołu nadzoru szkolnego. Jeśli weźmiemy pod uwagę, iż 380 osób nadzoru szkolnego ma za zadanie w ciągu dwustu kilkunastu dni roku szkolnego na przestrzeni całej Rzeczypospolitej nietylko zbadać i ocenić pracę około 76 tysięcy nauczycieli w 27 tysiącach jednostek szkolnych, obejmujących przeszło 200 tysięcy oddziałów i 4 i pół miljona dzieci, lecz także inicjować i instruować pracę pedagogiczną, to jasnem jest, iż przy ogromie prac administracyjnych działalność czynnika nadzoru siłą rzeczy nie może wnikać głębiej w życie szkoły, a ograniczyć się musi do powierzchownej kontroli i do udzielania zachęty nauczycielstwu. W tych warunkach istotna odpowiedzialność za kierunek i jakość pracy szkolnej ciąży wyłącznie na nauczycielstwie".

DWIE ODEZWY

Sekcja regulacji urodzeń Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej (Warszawa, ul. Leszno 53) wydała dwie ulotki treści następującej:

I. „Kobiety - Matki! Jeżeli nie chcecie i nie możecie mieć więcej dzieci, jeżeli mieszkanie Wasze jest ciasne, zarobki małe i zdrowie słabe, to zwracajcie się do Poradni Świadomego Macierzyństwa. Tam dowiecie się, jak w sposób nieszkodliwy dla zdrowia ustrzec się ciąży. Nie róbcie sztucznych poronień, nie niszczcie zdrowia, nie marnujcie pieniędzy! Poradnia Świadomego Macierzyństwa jest dlatego założona, by kobiety ubogie umiały tak samo unikać ciąży, jak kobiety zamożne".

II. „Matki i kobiety pracujące! Wszystkie matki, które już więcej nie mogą mieć dzieci, bo na te, które już mają, nie starcza dziś chleba, ani ubrania, ani możności ich kształcenia, wszystkie kobiety pracujące, których męczy ciężka praca; wszystkie chore lub wycieńczone nędzą, które nie mogą dać życia zdrowemu potomstwu — przychodźcie do nas, do Poradni Świadomego Macierzyństwa. Tam się dowiecie, jak się ustrzec niepożądanej ciąży i dostaniecie pewne środki, bo zamiast robić poronienia — które niszczą zdrowie — należy zapobiegać ciąży".

W NAJBOGATSZYM KRAJU NA ZIEMI..

Ostatnio zebrał się w Cincinnati Komitet Wykonawczy Amerykańskiej Federacji Pracy, celem ostatecznego rozstrzygnięcia palącej sprawy przymusowego ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Obliczono w toku obrad, iż w ciągu roku bieżącego zarobki mas pracujących w Stanach Zjednoczonych zmniejszyły się o przeszło 25 miljardów dolarów. Mimo tak wielkiego zubożenia warstw pracujących, Komitet Wykonawczy postanowił sporządzić projekt dekretu, mocą którego 3% poborów każdego pracownika ściągane byłoby na poczet funduszu ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Projekt tego dekretu ma być w najbliższej przyszłości przedstawiony poszczególnym stanom do zatwierdzenia.

Jednocześnie wydano odezwę, w której „Komitet Wykonawczy Amerykańskiej Federacji Pracy wzywa całe społeczeństwo do walki o równowagę życia gospodarczego Stanów Zjednoczonych. W chwili

obecnej połowa ludności, czyli około 60 miljonów osób żyje poniżej naukowo ustalonego minimum utrzymania, połowa ludności głoduje i z dniem każdym coraz głębiej pogrąża się w nędzy".

KRYZYS GOSPODARCZY W WATYKANIE

W Rzymie mówi się wiele o poważnych stratach, jakie poniósł Watykan z powodu zniżki kursu walut państw, w których lokował swe kapitały, przedewszystkiem więc ze spadku funta angielskiego. Jednocześnie na zły stan finansów stolicy Apostolskiej wpłynęły wielkie wydatki, wywołane powstaniem niezależnego państwa Watykańskiego. W ostatnich dwóch latach wybudowano tam pałac gubernatora, nową pinakotekę, gmach „Osservatore Romano", dworzec kolejowy, magazyny żywnościowe, kwaterę Gwardji Szwajcarskiej, pałac N. M. P. w Transtercie na pomieszczenie Kongregacji rzymskiej, Klasztor benedyktynów, zakład misyjny na Janiculum i t. d.

Przy tych budowlach Watykan zatrudniał w ciągu ostatnich lat po 8 tysięcy robotników dziennie. Wprawdzie papież otrzymał na zasadzie układów laterańskich 1929 r. znaczną kwotę tytułem odszkodowania, ale zmniejszyły się zato wpływy ze świętopietrza.

To też w Watykanie daje się odczuwać kryzys tak samo, jak w innych państwach i zarządzono różne oszczędności; m. in. z tego powodu zaniechano nominacji nowych kardynałów.

WPŁYW WIELKICH MIAST NA CYWILIZACJĘ

W jednym z ostatnich numerów „*Neue Freie Presse*" zastanawia się R. R. Coudenhove - Calergi nad przyszłością naszych wielkich miast i dochodzi do następujących wniosków: —

„Nadejdą czasy, gdy ludzie dziwić się będą, jak można było przeżyć jeden dzień w tych labiryntach z kamienia, jakie nazywamy wielkiem miastem. Podobnie jak my dzisiaj w zachwyt wpadamy przed grotami zamieszkiwanemi niegdyś przez ludzi jaskiniowych, tak samo przyszłe pokolenie „podziwiać", będą nasze kamienice. Lekarze wynajdywać będą różne rodzaje teoryj naukowych z pomocą których możnaby zrozumieć w jaki sposób hygiena publiczna godziła się z faktem, iż miljony ludzi gnieździły się i rozmnażały w przegródkach z cementu, pozbawionych przestrzeni, światła, powietrza, słońca, dalekich od przyrody, a przesiąkniętych atmosferą chorób, dymem i sadzą, kurzem i brudem.

Nieuchronne wyzbycie się przez człowieka wielkich miast jest podstawową koniecznością każdej cywilizacji.

Przeciwna naturze ludzkiej, zgęszczona i nieczysta atmosfera dzisiejszego miasta zatruwa ciało i duszę, nerwy i umysł człowieka. Jeśli nazwiemy cywilizację naszą — wielkomiejską, to powiadamy tem samem, iż jest ona jakowąś błotną rośliną, hodowaną przez zwyrodnialców, przez ułomnych, którzy bądź dobrowolnie, bądź też z musu gnieżdżą się w ślepej uliczce życia".

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

JESTEŚMY OSACZENI

Jeżeli rozpoczęcie roku nowego ma być sposobnością do oceny drogi minionej i spojrzenia przed siebie, niechże nas ta sposobność nie zniewala do okolicznościowych westchnień i szablonowych frazesów.

Nie przystoi bawić się słowami w czasach takich, jak nasze, których ilustracją, już najjaskrawszą, najbardziej wyraźną był właśnie rok ubiegły. Każdy miesiąc, niemal dzień każdy tego roku niósł wymowną naukę o wielkiem mozole, z jakim ludzkość wkracza na inne, nowe tory zbiorowego życia: o duchu prowizorjum, który zapanował nad wszystkiem, o złudności paljatywów społecznych, politycznych, gospodarczych, o beznadziejnych nawrotach ku przeszłości.

Rok chaosu, niepokoju, szamotania się w sieci sprzeczności, pełnej węzłów gordyjskich, z których ani jeden nie został rozcięty. Rok zastoju i rozkładu. Rok, który zadrwił z mężów stanu, polityków, dyplomatów i ekonomistów, albowiem niczego nie przewidzieli i niczego nie zdołali naprawić. Słowa o „planie" brzmiały, jak ironja, a wyraz „program" był najczęściej synonimem bluffu. Wszystkie horoskopy były mylne w tym roku nieobliczalności i hazardu.

Autorytet moralny rządów został niemal wszędzie osłabiony: czynniki, których powołaniem i funkcją naczelną jest utrzymywanie ładu, spokoju i równowagi społecznej, same popadły w niepokój i dezorjentację, nie wiedząc, co przyniesie jutro i uprawiając już tylko politykę z dnia na dzień — zarówno w sprawach wewnętrznych państwa, jak i na terenie międzynarodowym. Sprzeczność ta osłabia moralny argument w rządzeniu.

Świat kapitału doznał nowych wstrząsów i uwikłał się w taki splot trudności, który można uważać za stadjum końcowe dawnych tego świata form, uprawnień, rządów i nadziei. Zawisła nad nim klątwa krótkowzrocznego egoizmu klasowego, który pozwala, naprzykład, niszczyć olbrzymie ilości produktów i towarów, podczas gdy wielomiljonowe masy cierpią głód i nędzę. Jeżeli zaś producent w dzisiejszym ustroju m u s i niszczyć kawę, pszenicę, bawełnę, naftę i t. d. dla utrzymania ceny i ratowania swego przedsiębiorstwa, to znaczy, że ustrój wymagający takich metod postępowania handlowego, m u s i zginąć. Nadzieja na bezgraniczną wytrzymałość mas nie może być trwałą pozycją w kalkulacjach i planach kapitalizmu.

Życie gospodarcze wkroczyło pod znak największego bezładu, sprzeczność pomiędzy interesem producenta i konsumenta doszła do takiego napięcia, które zdaje się wróżyć rychły i zasadniczy zwrot: od niedorzeczności gospodarczej ku logice zbiorowego życia.

Wzmocnił się również kontrast pomiędzy tym czynnikiem, który wprowadza radykalną zmianę w metodach produkcji, a porządkiem ustrojowym: kontrast pomiędzy rozwojem techniki a socjalnem status quo ante. Maszyna, wyzwalająca człowieka z męki fizycznej i zarazem podnosząca wydajność pracy, zamiast zwiększania dobrobytu ogólnego, spycha ludzi — w dzisiejszych warunkach — na dno nędzy. Stąd złorzeczenia ciskane na postęp cywilizacji, stąd drwina niemądra, albo i wrogość dla zdo-

byczy genjuszu ludzkiego. Jeżeli maszyna usuwa pług rolniczy i jednocześnie odbiera chleb robotnikom rolnym, to znaczy, że maszyna zniszczy nietylko pług, ale i ustrój gospodarczy, który nie wytrzymuje harmonji pomiędzy zdobyczą techniczną a dobrem człowieka pracującego.

Wśród wielu utrapień naszych czasów rozrosła się tragedja największa: tragedja bezrobocia. Rok ubiegły pogłębił ją, rozszerzył, wyjaskrawił, doprowadził do rozmiarów, które grożą już chwilą ostatniej kropli, przepełniającej czarę. Nad zbliżeniem takiej chwili pracują nietylko siewcy buntu, ale i ci również, którzyby chcieli uszczuplić lub zniszczyć zdobycze socjalne świata pracy. Nic bardziej szalonego, niż „trzeźwe" głosy przemysłowców o konieczności zniesienia świadczeń społecznych. Nieraz już w historji na przyspieszenie katastrofy składały się dwie siły: ta od krańca lewego i ta od prawego.

Niema dziś sprawy ważniejszej, niż sprawa człowieka, pozbawionego pracy. Tu streszcza się wszystko zło, nagromadzone przez błędy i szaleństwa epoki. Tu demonstruje się cała potworność stanu rzeczy gospodarczych, społecznych, politycznych. Tu wreszcie — najgłębsze źródło przemian nieuchronnych.

Jesteśmy osaczeni. My — wszyscy, którzy mamy co jeść i gdzie mieszkać. Jesteśmy osaczeni przez wielomiljonowy żywioł nędzy, przesycony goryczą, nienawiścią, duchem buntu. Przed tym żywiołem broni nas — naszych śpiżarni, mieszkań, sklepów — siła fizyczna. I nie mamy moralnego prawa oburzać się na policję, która rozpędza pochody bezrobotnych, albo — w chwilach n a s z e g o niebezpieczeństwa — ucieka się do użycia broni, bo to my — rękami policji czy wojska — bronimy się fizycznie, my, nietylko właściciele banków i sklepów, ale również posiadacze mieszkań i jedzenia. Nie otwieramy mieszkań ludziom nocującym zimą pod mostami, nie wpuszczamy głodnych do naszych jadalni, nie prosimy policji czy wojska, żeby nas nie broniono. A ci z nas, którzy rozumem i sumieniem uznają prawo głodnego i bezdomnego człowieka do walki o ludzkie warunki życia, popadają w mękę moralną: zabezpieczamy sobie spokój dzięki zorganizowanej sile fizycznej a dostatecznych ku temu podstaw moralnych nie widzimy.

Dlatego też dążymy do jedynego wyjścia z konfliktu pomiędzy egoizmem a zasadą ideową: do innego ustroju społecznego.

Obraz rzeczywistości współczesnej przemawia z mocą dostateczną, argumentami aż nadto wyraźnemi, nauką niedwuznaczną, że idziemy ku innej przyszłości. Na tej drodze — różnica podstawowa pomiędzy ludźmi wczorajszymi, którzy tkwią w przeszłości i nie rozumieją zmian idących, a tymi, którzy wypracowali w sobie sankcję rzeczy nowych. To dwa światy, pomiędzy któremi nie może być porozumienia. Pierwszy — wczorajszy — żyje inercją, przyzwyczajeniami, przeżytkiem, drugi — inicjatywą, odnową, twórczem burzycielstwem. Pierwszy woła na pomoc wszystkie omdlewające siły tradycji, drugi — wszystką ulgę moralną znajduje w przekonaniu, że życie świata będzie inne. Pierwszy nie chce widzieć, drugi widzi prawdę czasów.

Żadne moce świata nie utrzymają takiego „porządku", który nieustannie pogłębia krzyczące o pomstę do nieba kontrasty społeczne. Kapitalizm zaczął tworzyć niepomiernie więcej nędzy i niedoli, niż jej potrzebuje. Upodobnił się do skorpjona, który wciska żądło we własny brzuch i zabija się.

Niema potęg tak wielkich, które zdołałyby jeszcze długie lata przedłużać ów splot paradoksów, które zapędzają ludzkość w ślepą ulicę, w impas, w błędne koło.

Jeżeli na progu Nowego Roku trzeba czegoś życzyć ludziom myślącym, to nadewszystko tego, by dobrze, uczciwie spojrzeli na obraz życia dzisiejszego i skonfrontowali swoje pojęcia, dążenia i hasła z tym obrazem. Wielkiej pracy wewnętrznej wymaga rzetelna rewizja wyobrażeń społecznych, politycznych, moralnych — zanim się w najgłębszem przekonaniu, umocnionem przez wiedzę o życiu i przez sumienie, zadecyduje, czego bronić, a co uznać za skazane na zagładę.

Jeżeli — jak mówił Comte — „umarli nami rządzą", to rewizja taka będzie walką z umarłymi — na korzyść praw życia i nowej przyszłości.

Józef Wasowski

ZWIASTUNKI
WIELKIEJ PRZEMIANY

Kwestja obecnego kryzysu i bezrobocia należy, oczywiście, do zagadnień, dziś nietylko najaktualniejszych, ale i najważniejszych, badanie których stało się dziś już koniecznością równie dla państwa jak dla społeczeństwa.

To też i w Polsce w ciągu ostatniego roku podjęto szereg badań w tej płaszczyźnie. Towarzystwo Polityki Społecznej przeprowadziło w roku 1931/1932 ankietę wśród paruset rodzin bezrobotnych w Warszawie; Instytut Gospodarstwa Społecznego w drodze ogłoszenia konkursu na pamiętnik bezrobotnego zebrał ponad siedemset pamiętników, część których ukazała się już w druku; wreszcie — Instytut Spraw Społecznych, przeprowadził w roku bieżącym szerokie badania wśród pozbawionych pracy pracowników umysłowych, robotników i chałupników i przystępuje obecnie do ogłaszania w druku wyników swych badań.

We wszystkich tych badaniach kwestja udziału kobiet w bezrobociu znajduje znaczne oświetlenie.

Nowa instytucja badawcza, założona w Polsce w związku z genewskim wnioskiem posłanki Waśniewskiej, mianowicie — komitet rzeczoznawców do spraw pracy kobiet, podejmuje również badania w zakresie bezrobocia: uruchamia obecnie ankietę o bezrobociu wśród kobiet, ankietę, którą zamierza przeprowadzić za pośrednictwem i na terenie wszystkich organizacyj: kobiecych, ogólnych zawodowych, zrzeszających m. in. kobiety, oraz społecznych i społeczno - naukowych. Wyniki tej ankiety odzwierciedlić muszą, jak wygląda kobieca część olbrzymiej armji bezrobotnych, przez jakie udręki przechodzi kobieta pozbawiona środków do życia, jakie „cursus laborum" odbyła w ciągu lat ostatnich, jak wyglądały okoliczności, towarzyszące jej zwolnieniu.

Oczywiście, uchwycenie w całokształcie zjawiska bezrobocia, chociażby, tylko wśród kobiet, jest niesłychanie trudne, a nawet wprost niemożliwe: dość wskazać chociażby tylko na trudność ustalenia pojęcia bezrobotnej. Jest rzeczą pewną, że nikt, pragnący poważnie badać zagadnienie, nie utożsami bezro-

botnej z bezrobotną — zarejestrowaną w państwowym urzędzie pośrednictwa pracy, gdyż wie, że bezrobotna wypada z rejestracji i ewidencji urzędu, jeżeli tylko przestanie się tam zgłaszać, — ale to nie oznacza bynajmniej, że przestała być bezrobotną.

Pozatem czynność poszukiwania pracy niezmiernie często przebiega wogóle poza urzędem, dla tej przyczyny, że olbrzymia ilość pracodawców woli werbować robotnika z ulicy, bez pośrednictwa urzędu, który nie ma zresztą żadnych uprawnień do narzucenia przymusem tego pośrednictwa.

Są natomiast, w odniesieniu do definicji bezrobotnej, kwestje bardziej skomplikowane i wymagające większej znajomości zagadnień gospodarczych i społecznych dla wyznawania się w nich. A więc niewątpliwie jest również bezrobotną i taka dziewczyna lub kobieta, która jeszcze nigdy pracy nie utraciła; nie utraciła dla tej prostej przyczyny, że nigdy jeszcze pracy tej wogóle nie uzyskała: to dotyczy w pierwszym rzędzie młodzieży, opuszczającej szkoły powszechne i zawodowe, wszelkiego rodzaju terminy, czy praktyki bezpłatne, nie znajdującej miejsca w żadnym zakładzie pracy ze względu na kryzys i kurczenie produkcji, na liczne rzesze bezrobotnych w kraju, młodzieży, nie mającej żadnych środków do utrzymania. Niewątpliwie jest bezrobotną córka małorolnego gospodarza wiejskiego, o licznej rodzinie, kobieta, która z powodu ograniczenia emigracji sezonowej, nie może już uzyskać pracy poza granicami kraju. Niewątpliwie jest bezrobotną i taka kobieta, która przedtem nie zarobkowała, bo pracował i utrzymywał ją mąż, ale która wobec śmierci męża, utraty przezeń pracy lub rozstania się z nim i pozbycia się wszelkich środków utrzymania zarobkować musi. Te wszystkie przytoczone wypadki umykają oficjalnej ewidencji bezrobotnych, natomiast poważne badanie o celach społecznych powinno je ogarniać.

Zdajemy więc sobie sprawę z tego, że niemożliwością będzie we wszystkich zamierzanych i realizowanych badaniach wyczerpać zagadnienie bezrobocia wśród kobiet, tem nie mniejszą wagę społeczną będą miały te badania, jako reflektory, oświetlające z rozmaitych stron to zagadnienie.

Jakkolwiek zjawisko liczebnych rozmiarów bezrobocia należy do bardzo trudno uchwytnych, tem nie mniej można je obejrzeć, jak w krzywem zwierciadle, za pomocą analizy zmian w rozmiarach zatrudnienia, a więc na odcinku, dla którego rozporządzamy ściślejszą statystyką, to znaczy dla wielkiego i średniego przemysłu.

Ażeby sądzić o udziale liczebnym kobiet wśród armji bezrobotnych, wytrąconych w ostatnich latach z wielkiego i średniego przemysłu, dość uprzytomnić sobie, jak kształtowała się struktura czynnej załogi robotniczej w tym okresie. Z wydawnictwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego, poświęconego zagadnieniu pracy kobiet w przemyśle współczesnym, dowiadujemy się na podstawie przeglądu udziału liczebnego kobiet w sześciu wielkich gałęziach przemysłu w ciągu lat 1927 — 1931 włącznie, że w okresie następującej po pomyślnej konjunkturze depresji, kobiety nietylko utrzymują swój udział liczebny, ale nawet wzmacniają go, w stosunku do lat pomyślnej konjunktury gospodarczej. Tak więc np., gdy na 100 zatrudnionych w przemyśle włókienniczym w r. 1927 wypadało 50 kobiet, w r. 1931 wypada ich 52, w spożywczym w tych samych latach — 20 i 23, w poligraficznym — 20 i 31, a w odzieżowym — 39 i 64. Oczywiście, najbardziej zasadniczą i istotną przyczyną tego wzrostu pracy kobiet jest różnica w wysokości opłaty męskiej i kobiecej robocizny, jak również mechanizacja i racjonalizacja przemysłu, czyniąca zbędnymi specjalne kwalifikacje robotnika. Stosunkowy wzrost zatrudnienia kobiet zdaje się wynikać i z zestawień, dotyczących rejestrowanych w P. U. P. P. bezrobotnych poszukujących pracy: gdy na 100 poszukujących pracy mężczyźni stanowili w r. 1927 — 73, w r. 1932 stanowią 81; kobiety natomiast w r. 1927 — 24, a w r. 1932 — 18.

Wchodzi tu w grę i ta okoliczność, że kobieta, postawiona wobec konieczności utrzymywania rodziny, ma do rozporządzenia szereg zajęć, niedostępnych dla mężczyzny: pranie, sprzątanie, reperowanie odzieży, a wreszcie — tragiczne, a zalegalizowane w dzisiejszym porządku rzeczy — zajęcie prostytucji.

Towarzystwo Polityki Społecznej w swej ankiecie wzięło pod obserwację grupę 204 rodzin, łącznie prawie tysiąc osób (929). Były to rodziny przeważnie wykwalifikowanych robotników. W rodzinach tych, w okresie dobrej konjunktury, utrzymujących jaką - taką stopę życiową, zachowywał się, jak widać, patrjarchalny układ życia i kobiety zarobkowały poza domem zaledwie w 15% wypadków. Bezrobocie żywicieli rodzin powoduje głębokie zmiany w tych rodzinach: na plan pierwszy wśród pomagających członków rodzin wysuwają się kobiety: żony, matki, siostry i córki, zarabiają one dorywczo praniem, posługą w domach prywatnych, handlem ulicznym i t. p. Tu w sposób dodatni działa zjawisko, które zkąd inąd związane jest z upośledzeniem kobiety w rodzinie patrjarchalnej: to, że dziewcząt i kobiet nie uczono nigdy żadnego zawodu, fachu, że dzięki temu, pozostawały one zawsze na rynku pracy w charakterze siły roboczej niekwalifikowanej, bezkonkurencyjnie taniej, to samo sprawiło, iż wolne od tradycyj i ambicyj rzemieślniczych „wyszkolonego zawodu", mają one dużo większą łatwość przerzucania się od jednego zajęcia do drugiego i nie doznają przytem wstrząsów psychicznych, ciężkich załamań, związanych zawsze z uczuciem degradacji społecznej, jak to bywa u mężczyzn.

Zjawisko zastępowania mężczyzn przez kobiety, w ich roli i funkcji żywiciela rodziny występują również w całej pełni z badań skutków społecznych bezrobocia, przeprowadzonych wiosną bieżącego roku z ramienia Instytutu Spraw Społecznych.

Wzięta pod obserwację znaczna grupa przeszło pół tysiąca rodzin bezrobotnych włókniarzy w Łodzi i Ozorkowie (dokładnie 534 rodziny) reprezentowała przed kryzysem grupę 768 osób, czynnych zawodowo, w tem 471 mężczyzn i 297 kobiet, czyli kobiety

w stosunku do mężczyzn stanowiły wówczas 63%. Cóż się dzieje w tej samej grupie ludzi pod wpływami kryzysu i bezrobocia? Otóż w każdym roku, poczynając od 1929, traci łącznie w tych rodzinach pracę dwa do trzech razy więcej mężczyzn niż kobiet, tak iż w końcu, w marcu 1932 roku, pracuje z całej grupy tylko 85 osób, a w tem kobiet 61, mężczyzn tylko 24; tak więc czynni zawodowo mężczyźni stanowią obecnie niewiele ponad trzecią część czynnych zawodowo kobiet. Rola i funkcja żywiciela rodziny przesuwa się tedy zdecydowanie z mężczyzny na kobietę.

Gdy dalej zainteresujemy się jeszcze zmianami w strukturze armji bezrobotnych, widzimy z danych P. U. P. P. lub Funduszu Bezrobocia, że wśród bezrobotnych wzrasta odsetek obarczonych rodzinami: gdy w ogólnej liczbie pobierających ustawowe zasiłki od bezrobocia, ludzie obarczeni rodzinami stanowili w r. 1930 przeciętnie 53,9% w r. 1931 wzrastają już do 55,5%. A fakt ten posiada specyficzną wymowę: *skutki bezrobocia uderzają wobec tego w dzieci, w matki karmiące dzieci, w kobiety, które sposobią się już do macierzyństwa.* Kobieta zresztą, szczególnie kobieta młoda, reaguje nadto, jak już wspomnieliśmy, w inny jeszcze sposób wobec dotykającej ją klęski bezrobocia. Kwestje społecznych zmian i przeobrażeń nie były jeszcze dotąd badane systematycznie i planowo, dlatego wcale nie wykorzystano jeszcze dotychczas takiego terenu badawczego, jakim są wydziały sanitarno - obyczajowe, na odcinku rejestracji nowo - ujawnionych prostytutek, — a również doświadczenia policji obyczajowej kobiecej. We wspomnianych już badaniach Instytutu Spraw Społecznych została uczyniona pewna próba na tym odcinku, w Łodzi, gdzie porównanie danych oddziału sanitarno - obyczajowego za r. 1928 i r. 1931 wykazało wśród nowo - ujawnionych prostytutek wzrost odsetka zredukowanych robotnic fabrycznych z 16.4% do 19.9%. Jak dalece, w odniesieniu do robotnic fabrycznych, fatalne stosunki wewnątrz zakładów pracy stwarzają bramę, otwierającą drogę do prostytucji, o tem pisała w prasie łódzkiej inspektorka pracy Przedborska, w oparciu o zaprotokułowane przez nią skargi robotnic.

Jest rzeczą niewątpliwą, że bezrobocie, w jego skutkach społecznych, uderza w kobietę dotkliwiej niż w mężczyznę, i to naturalnie nietylko ze względu na dopiero co wspomnianą okoliczność, a przedewszystkiem dlatego, że kobieta pełni funkcję macierzyństwa, wskutek czego wszystkie ciężkie doświadczenia, przez które przechodzi, odbijają się prawie bezpośrednio na dziecku. A znów w tym „szczęśliwym", wypadku, gdy się kobieta przy pracy utrzyma, dystansując mężczyznę, przystając na wszelkie warunki, — społeczna rola takiego współzawodnictwa kobiety z mężczyzną wypada najczęściej ujemnie, kształtuje psychikę kobiety w sposób niekorzystny, a w skutkach prowadzi do straszliwego zła: obniżenia i tak już bardzo niskich zarobków robotniczych.

To są, w krótkiem streszczeniu, te cięgi, jakie spadają na kobietę w okresie długotrwałego i ostrego bezrobocia.

A przecie — jest pewna jaśniejsza strona w tem zjawisku nadmiernej rozbudowy zarobkowania kobiet, ujemne skutki której dla społeczeństwa już nieraz wykazywaliśmy, — w tem zastępowaniu mężczyzn przez kobiety w ich roli i obowiązkach żywicieli rodzin, ujawniającem się szczególnie jaskrawo pod wpływami bezrobocia.

Jest bowiem w tem zapowiedź *daleko sięgających w przyszłość zmian i przeobrażeń w formach życia społeczeństwa, w formach współżycia płci.* Ustrój gospodarczy, który oparł wytwórczość o maszynę, następnie — zmechanizował przebiegi wytwórcze tak dalece, że osoba, umiejętności, przygotowanie robotnika odstąpiły na plan trzeciorzędny, — ustrój ten przesądził sprawę wyjścia kobiet z zamkniętych wnętrz rodzinnych i użytkowania ich siły roboczej w zmechanizowanej produkcji. Społeczna strona tego zagadnienia, zmiany, jakie w związku z tem muszą następować w rodzinach rzesz pracujących, w psychice samych kobiet, — rzeczy te nie wchodziły nigdy w krąg widzenia twórców maszyn, racjonalizacji i t. p.

Tymczasem zmiany te, powoli, pocichu, drążyły i drążą społeczeństwo; wpływają na inne ustosunkowanie się kobiet do wszystkich przejawów życia, do samej rodziny: sprawiają, że od roli biernej piastunki ogniska rodzinnego przechodzi kobieta, wciągnięta do czynnej działalności gospodarczej, do roli całkiem innej, a stąd przecie muszą wynikać daleko idące konsekwencje... Jeżeli kobieta, gospodarczo - czynna po za domem i w najszerszym zakresie, potrafi równie dobrze jak mężczyzna pełnić funkcję żywiciela rodziny, — to już się nie da utrzymać ani tego upośledzenia kobiety, jakie cechuje rodzinę patrjarchalną, ani uprawiać systematycznie zamilczania wszystkich interesujących kobietę, (a więc i społeczeństwo!) zagadnień.

Wiemy, że w dziejach ludzkości, rodzina przechodziła rozmaite postacie ewolucyjne i że rodzina patrjarchalna w powstaniu swem oparła się o własność prywatną.

I otóż — paradoks! — *ustrój kapitalistyczny, wspierający się całą swą istotą o własność prywatną, dokonał dzieła rozwalenia rodziny.* Na tych prawdziwych gruzach rodziny współczesnej powstać musi jakaś inna słuszna forma współżycia płci, bez upośledzania żadnej z nich, bez podporządkowywania jednej i drugiej.

Taka zasada jak regulacji urodzeń niewątpliwie jest już twórczą w płaszczyźnie tworzenia słuszniejszych form współżycia płci.

Gdy kobieta przyjdzie do głosu w sprawie organizacji życia w społeczeństwie, utrwali ona zasadę istotnego jednożeństwa, odrzucając formy, czyniące je fikcyjnem (jak nierozerwalność związku) i urządzenia, sprzeczne z jego istotą (jak prostytucję). Zagadnienia, dla których współczesne społeczeństwo nie znajduje rozwiązań, na które zawsze i wszędzie brak środków materjalnych, jak np. utrzymanie przy życiu wszystkich rodzących się dzieci, — jakże łatwo dadzą się one rozwiązać przy udziale twórczej inicjatywy kobiet, dla których — rzecz pewna! — nigdy wydatki na tanki i gazy trujące nie będą miały przed wydatkiem na życie dziecka pierwszeństwa!

Czy zaś to się komu z nas podoba, czy też nie — kobieta, wyprowadzona z domu, zwrócona ku czynnej roli gospodarczej, przyść musi i przyjdzie do organizowania życia zbiorowego na równi z mężczyzną, — a rozpocznie to dzieło — od podstaw.

Halina Krahelska

ODGŁOSY

NA WSI INACZEJ

P. Janina Strzelecka w artykule p. t. „Reforma wakacyjna" (w n-rze 12-tym „Epoki"), występuje przeciw zmianom w rozkładzie wakacji i uważa zmiany te za zbytek, niepodyktowany „logiczną życiową koniecznością". P. Strzelecka sądzi np., że dotychczasowe ferje Bożego Narodzenia od 21 grudnia do 3 stycznia były najzupełniej wystarczające i obecna reforma, przedłużająca je do dnia 16 stycznia jest nietylko zbyteczna, ale wprost szkodliwa i krzywdząca dla znacznej części młodzieży; albowiem przy „katastrofalnych warunkach materjalnych szkoła jest dzisiaj najczęściej ucieczką od zimna i bardzo ciężkich warunków mieszkaniowych, częstokroć i rodzinnych". To stanowisko byłoby słuszne jedynie w tym wypadku, gdyby chodziło wyłącznie o młodzież wielkomiejską, tymczasem chodzi też o lwią część młodzieży, zamieszkałej w miasteczkach, osiedlach fabrycznych, a przedewszystkiem na wsi. Tam zaś rzeczy przedstawiają się zgoła inaczej. Właśnie „katastrofalne warunki" w zubożałej wsi są dziś tego rodzaju, że dzieci szkół powszechnych pozbawione są w większości ciepłej odzieży i obuwia. Zważyć trzeba nadto, że obwody szkolne na wsi są dość rozległe i że dziecko ma do przebycia dwa i trzy kilometry do szkoły. Drogi wiejskie, pozbawione chodników betonowych, stanowią o tej porze roku albo błotniste stawy, w których kaczki są kąpać mogą albo równinę śniegiem zawianą, w której ścieżki przedeptywać muszą najczęściej dzieci, idące o wschodzie słońca do szkoły. Kto widuje te maleństwa w zimie, śpieszące zdaleka grupkami na ósmą godzinę do szkoły, jak człapią w rozmiękłem błocie, przeskakują z wysepki na wysepkę, wybierając miejsca suchsze, albo jak brną w trepach, czasem bez pończoch lub w pantofelkach w śniegu, z trudem wyciągając nożyny na kopnej drodze — z ulgą powita rozporządzenie, które o dwa tygodnie skraca dzieciom krzyżowe marsze do szkoły i ze szkoły.

Nieobojętną też rzeczą jest reforma wakacyjna dla nauczycielstwa, które przeciążone jest pracą w szkołach powszechnych, zwłaszcza w „niskozorganizowanych". Pierwsze półrocze stanowi okres największych wysiłków i napędzania programu nauczania, do świąt więc Bożego Narodzenia nauczycielstwo jest zmęczone i wyczerpane nerwowo, krótka zaś dotychczasowa przerwa wakacyjna nie pozwalała odetchnąć i zaczerpnąć nowego zapasu sił do pracy. W tym względzie więc zwiększenie okresu wypoczynkowego po zakończeniu półrocza jest pożądane i pożyteczne.

Nadto trzeba się liczyć mocno ze sprawą frekwencji dzieci w tej porze roku, w czasie śnieżnych zawiei, mrozów lub nagłych roztopów. Dekret o przymusie szkolnym jest często bezsilny wobec życia i pozostaje tylko dekretem. Groźba kary za nieposyłanie dzieci do szkoły, a nawet stosowanie jej wobec rodziców nie zastąpi braku ciepłej odzieży i obuwia, frekwencja więc z tego powodu jest często niedostateczna.

Odbija się to na nauczaniu, dezorganizuje je i piętrzy trudności dla nauczycielstwa. Dwutygodniowe więc skrócenie tego najcięższego okresu i z tych względów nie jest do pogardzenia.

Wreszcie szczegółem dość ważnym jest sprawa opału. Pozycje w budżetach gminnych na ten cel kurczą się z roku na rok w miarę rosnącego ubożenia wsi. Zarządy szkół zmuszone są stosować jaknajdalej idące oszczędności, żeby starczyło opału chociażby do końca marca, nie mniej jednak zdarza się często, że opał wyczerpuje się przed nastaniem dni ciepłych i dzieci siedzieć muszą w szkole w niskiej temperaturze. Przerwa więc dłuższa o dwa tygodnie zabezpiecza ciągłość ogrzewania sal szkolnych do końca zimy.

Co zaś się tyczy wakacji letnich, uznać trzeba też stronę dodatnią reformy. Ostatnie tygodnie roku szkolnego, które wypadają w czasie dokuczliwych upałów, są jak wiadomo, najmniej produktywne. Dusza dziecka rwie się do zabaw w słońcu i na powietrzu i powstaje wyraźny brak warunków dla wytężonej pracy umysłowej. Niskie, duszne izby szkółek wiejskich przy wysokiej temperaturze czerwcowej działają na intelekt dziecka usypiająco i rozpaczliwe wysiłki nauczycielstwa nie mogą często usunąć półdrzemki w klasie. Zresztą nauczycielstwo samo z trudem największym dobija do końca roku szkolnego. Przesunięcie więc wakacji letnich kosztem sierpnia będzie niewątpliwie na wsi rzeczą dodatnią.

Zatem gorzkie uwagi p. Strzeleckiej dotyczyć mogą jedynie stosunków wielkomiejskich, w miarę jednad oddalania się od murów wielkiego miasta i rozszerzania pola widzenia na wsi — stanowisko wobec zmian wakacyjnych musi się odwrócić. Ten medal ma też dwie strony.

Henryk Lukrec

SZLACHETNE POŚREDNICTWO

Miałem niedawno interes w Dyrekcji Programowej Polskiego Radja. Wchodzę do pokoju, zajmowanego przez kierowników działu dziecięcego, kobiecego i skrzynki pocztowej. Uderzył mnie na samym wstępie osobliwy wygląd tego biura. Na stołach, na podłodze, pod ścianami starta tłomoków, worki, paki; woźni wnoszą skrzynki do przesyłek pocztowych. — Przenoszą się z tego pokoju, czy co? — pomyślałem sobie: — wlazłem tu nie w porę. W tym „bałaganie" uwija się energiczna kierowniczka programów dla dzieci i młodzieży, p. Wanda Tatarkiewicz, wydając dyspozycje woźnym, targując się o cenę skrzynek, licząc paczki. — Czy pani wybiera się na wyspę Niedźwiedzią? A może się poprostu przeprowadzacie? — pytam. — Ani jedno, ani drugie — z uśmiechem odpowiada p. Tatarkiewicz, — poprostu ekspedjuje się dary dla biednych dzieci. — Czyje dary? — Radjosłuchaczy. Odzież zimowa, bielizna, buciki, a że Gwiazdka za pasem, więc i zabawki. — Widzę tego całą furę. Jaką drogą pani to zdobyła? Ma pani chwilkę czasu?

— Ależ najchętniej. Drogą bardzo prostą. Apel przez radjo i ma pan rezultat: w kilka dni pół pokoju zawalone przesyłkami. Ważne jest to, że myśmy odegrali tylko rolę pośredników. To, co pan tu widzi, to odzew dzieci na wezwanie dzieci.

— Jak pani to zorganizowała?

— Zaraz panu wyłożę. Prócz właściwej „Skrzynki Pocztowej", którą, jak pan wie, prowadzi dr. Mar-

jan Stępowski i również zabiega o pomoc dla swoich dorosłych, mam swój „kącik radjosłuchaczątek", gdzie ogłaszam odpowiednie listy mych małych korespondentów. Bardzo ciekawa kolekcja. O, naprzykład ten liścik. Czy to nie wzruszające?

Czytam. Pisany starannie i bez błędów.

— Początek, to mniejszej wagi — przerywa mi zabiegliwa pośredniczka między sercami dzieci, — niech pan przeczyta od tego miejsca do końca.

„Mamy malutką dla innych, dla nas bardzo wielką prośbę. Prosimy o pomoc w przyodzianiu dzieci oddziału I-go. One takie malutkie, zwłaszcza Stefek Naszuciuński, i bucików nie mają. Wczoraj było 10°C a Tosia Mazura 2 km. do szkoły przybiegła boso prawie, bo nogi miała szmatą owinięte. My starsi radzimy sobie, bo bierzemy buty lub drewniaki taty albo mamy, a Stefek, gdyby taki but miał, toby schował się cały, jak krasnoludek. Mały on, ale dobry uczeń.

Wstyd prosić, ale dla siebie, ale my IV klasa prosimy za małych, bo one jeszcze pisać nie umieją, znają literek kilka. Co za radość będzie, gdy nasi koledzy i koleżanki z radja odzieją naszych małych. Urządziliśmy przedstawienie, ale mało kto przyszedł, bo wstęp kosztował 10 gr. Smutno nam było, bo uzbieraliśmy tylko 2 zł., a buciki na targu kosztują 4 zł., ale jeszcze złożymy, bo damy Jasełka. Jeszcze raz prosimy mocno, mocno.

A teraz wszystkich mocno ściskamy.

Oddział Czwarty
w Cieciepkach na Polesiu".

Cenny przez swą wartość moralną dokument, a jednocześnie jakże smutny! Takich Cieciepek jest dziś dużo w Polsce, już nietylko na biednem Polesiu. A jesteśmy dopiero na progu zimy.

Jednak wrażenie, wywołane szlachetną i rozumną akcją budzenia odruchów humanitarnych u dzieci, dominuje swą majorową nutą. Nie jest jeszcze tak źle, skoro można walczyć z powodzeniem na małym choćby odcinku życia zbiorowego z najpotworniejszym wrogiem wszelkich poczynań ratunkowych, z najgorszą w ciężkich chwilach chorobą społeczną: brutalnym egoizmem posiadających.

Wacław Rogowicz

REFLEKSJE

PARĘ SPROSTOWAŃ

„Nadzieja jest matką głupich". Tak się mówi. Czy to prawda? Przysłowie to wymyślił człowiek niemądry, który chciał uchodzić za takiego, co „zna życie", za trzeźwego, za „realistę". Może nie miał już nadziei i swoją gorycz awansował do stopnia mądrości życiowych. Słowa te powtarzają ludzie bezmyślni.

Nadzieja jest jednym z najsilniejszych motorów życia. Jest źródłem najlepszych inspiracyj. Jest podnietą, pomocą i ratunkiem. Jest uczuciową podstawą każdej pracy, obliczonej na dalszą metę, każdej walki dla przyszłości.

Nadzieja zmienia postać świata. Wsparta wiedzą o przeszłości rodzaju ludzkiego, widzi — poprzez pasmo cierpień i tragedji — że postęp ludzkości nie jest złudzeniem, że przeto dzień jutrzejszy może być lepszy od dnia wczorajszego. Widząc to, nie ustaje w swem twórczem działaniu.

Nadzieja usprawiedliwia ofiarę, mękę, poświęcenie, które przez dobre zdobycze i zwycięstwa równoważy w rachunku dziejowym.

Nadzieja jest chwałą i dumą człowieka, który zmienia rzeczywistość. Jest matką woli, charakteru i ambicji.

***

„Czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży, a reszta sama się złoży"... Nie złoży się sama. Wszystko zależy od wszystkiego w mechanizmie świata. Wysiłki, trudy i zabiegi we własnem jeno kółku, nie zapewnią człowiekowi dobra, albowiem zależy on od wszystkiego, co się na świecie odbywa. Cóż mu przyjdzie z tego, że jak wolterowski Kandyd, zasiał swój ogródek, że rośnie mu tam kapusta dla spokoju żołądka i ładne kwiateczki dla rozkoszy oczów, kiedy oto każdej chwili przyjść może zawierucha, burza, nawałnica. A przychodzą tak często i niszczą wszystko, co się w swojem kółku uczyniło. Przychodzą z wojny, ze zmian społecznych, z przewrotów politycznych, z międzyludzkiego niepokoju, żadnego nie oszczędzając „kółka".

Nie wystarczy filozofja Kandyda. Nie zabezpieczy spokoju psychologja mysiej nory. Błogosławieństwo własnego „kółka" nie jest trwałem dobrem człowieka.

Trzeba przykazania: czyń każdy dla Wielkiego Koła... Wyjdź z własnego ogródka na szeroką drogę życia, byś wiedział, co czynić dla innych, żeby ci się własne nie połamały kółka i kółeczka.

Ramy wspólnoty międzyludzkiej rozszerzają się i przeto sprawa prywatna łączy się coraz silniej z biegiem spraw ogólnych, od których niemasz ucieczki.

***

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy". Gdyby Juljusz Słowacki wiedział, w czyich ustach słowa te brzmieć będą najczęściej!... Wymierzane są przeciw najszlachetniejszym zamiarom i hasłom. Przeciwstawiane są każdej myśli o przyszłości. Paraliżują zapał i gaszą entuzjazm. Odpychają najwznioślejsze idee.

A „lasy"? One zawsze płoną, dając odwieczny argument wrogom „róż"... Gdyby o wszystkiem decydowali, nie byłoby róż na ziemi.

Światu ludzkiemu potrzebne są i lasy i róże.

Widz

ROZBROJENIE W GENEWIE I POLSCE

Pan Artur Henderson, przewodniczący Konferencji Rozbrojeniowej w momencie ponownego otwarcia obrad Konferencji otrzymał szereg jednobrzmiących depesz z różnych krajów świata. Były to depesze od kobiet, od związków i lig interesujących się sprawą organizacji pokoju, a brzmiały: „Żądamy postępu prac rozbrojenia".

Jakie wrażenie wywarła ta manifestacja na p. Hendersonie, nie wiemy, przewodniczący Konferencji uchodzi zresztą za wielkiego zwolennika współudziału kobiet w propagandzie rozbrojeniowej i w pracach Konferencji.

Jedna z tych depesz pochodziła z Polski, podpisana była przez Komitet Rozbrojeniowy Polskich Organizacyj Kobiecych, łączący kilka central, a który równocześnie odbył w Warszawie zebranie informacyjne o stanie obrad Konferencji.

W związku z tak skromną nawet akcją, trzeba zawsze wysłuchać głosów opinji, która im mniej jest.... kwalifikowana, tem odważniejsza i tem bardziej charakterystyczna dla nastrojów szerszych mas.

„Lepiej byłoby — twierdzi jakiś nieznany patrjota — gdyby kobiety polskie nie radziły nad rozbrojeniem, ale wręcz przeciwnie: nad zbrojeniem. Ponieważ mamy jeden pewnik: wtedy będziemy mieli pokój, jeżeli będziemy dobrze uzbrojeni. I właśnie nad tem powinny radzić kobiety polskie. Zbierać zastępy dziewcząt i ćwiczyć(!). Przyzwyczajać do służby dla Państwa, żeby w razie potrzeby mogły stanął do służby czynnej. Tego potrzebuje ojczyzna, od tego zależy bezpieczeństwo granic naszego kraju. W dzisiejszych czasach kobieta powinna stanąć na równi z mężczyzną w szeregi Przysposobienia Wojskowego i w szeregi Obrońców Ojczyzny".

Jeżeli przytaczam taki głos, to dlatego, że jest on wyrazem najbardziej rozpowszechnionej opinji.

Nie bagatelizujmy takiej opinji. To nietylko wyjątkowy fanatyk żąda równouprawnienia kobiet w „służbie czynnej" — przysięgłabym, że równocześnie agituje za usuwaniem urzędniczek z biur i odbieraniem pracy i stanowisk kobietom. Przez niego przemawia liczna rzesza i mężczyzn i kobiet, mających prawo głosowania i mających własne, młode dzieci!

Przysposobienie wojskowe dziewcząt od szeregu lat już istnieje, trochę łagodniejsze ma formy, niż u chłopców, więc widocznie tego jeszcze za mało! Nie tak dawno wyrażono też w pewnej organizacji kobiecej opinję, że wartoby i do Harcerstwa żeńskiego wprowadzić przysposobienie wojskowe....

Ta sprawa przysposobienia wojskowego dziewcząt uchodzi zresztą za równie „drażliwą" jak bodaj... regulacja urodzin i jest dotychczas starannie omijana, jako temat dyskusyjny, w sferach rodzicielskich i w organizacjach kobiecych. Wywołuje bowiem odrazu takie zaognienie, takie napaści, taką pasję, że pozytywne dyskutowanie staje się bardzo trudne. Dlatego też, jak o innych najistotniejszych sprawach młodego pokolenia, o tem się nie mówi...

A z Konferencji Rozbrojeniowej czyta się wprawdzie w gazetach depesze, lecz Genewa jest tak daleko! To, że w Genewie prócz Polski jest coś czterdzieści reprezentowanych narodów i że dąży się tam do ustalenia wspólnych norm przyszłych ograniczeń zbrojeń i to, że Polska jest reprezentowana przez swe delegacje urzędowe — to wszystko do świadomości zaperzonych umysłów nie dochodzi. Dla nich ograniczenie uzbrojeń — to nowe rozbiory Polski.

Nasze organizacje pacyfistyczne i społeczne, interesujące się rozbrojeniem i organizacją pokoju, są — przyznajmy się szczerze — słabe i liczebnie i aktywnie. Ale jedno muszą robić coprędzej: wyjaśniać, tłomaczyć, uczyć, co to są za sprawy, o których mówi się pod hasłem rozbrojenia i pacyfizmu. Uczyć myśleć i operować pojęciami, które w głowie człowieka nowoczesnego muszą mieć prawo obywatelstwa.

Dobrze jest ogarniać szerokie rzesze ludowe: lecz najtrudnej jest z tak zwaną inteligencją i jej opacznymi poglądami.

Gdy polski delegat na Konferencję Rozbrojeniową (Generał Burchardt-Bukacki) stwierdza przed całym światem, że wojnie gazowej nie można przeciwstawić żadnej skutecznej obrony, że dziś już dochodzimy do 1.000 gatunków gazów trujących — przeciętny obywatel kupuje sobie maskę przeciwgazową nie orjentując się, że zanim wypłaci drugą ratę za jedną maskę — powinien zamówić już nową, bo tamta będzie nieużyteczna, wobec nowego wynalazku...

I gdy organizacje kobiece żądają postępu prac od Konferencji Rozbrojeniowej, gdy wołają o konkretne wreszcie rezultaty obrad 10-ciu już miesięcy, przeciętny, zacny obywatel chce podrastające pokolenia kobiet „na równi z mężczyznami", zaprawiać do wojny. Jeśli takie miałyby być owoce feminizmu i równouprawnienia obywatelskiego kobiet...

Aby do tego nie doszło, trzeba wyjaśnić, trzeba wzbudzać dyskusje, trzeba zapraszać ludzi do myślenia... Bo, ostatecznie, i polski projekt o rozbrojeniu moralnem też do czegoś obowiązuje w samej Polsce!

Jadwiga Krawczyńska

KINO DOPĘDZA TEATR I LITERATURĘ

Relatywnie starsi z pośród nas pamiętają jeszcze okres najwcześniejszej młodości, niemal, że narodzin tego dziecka. Patrzyliśmy ze zdziwieniem i pewnem niedowierzaniem na trzęsące się ruchome obrazy na płótnie, stanowiące jeden z punktów obszernego programu. Potem ówcześni starsi brali nas ówczesnych młodych do kina, chcąc nam zrobić przyjemność i wstydząc się trochę tego, że sami biorą udział w takiej niższego rzędu rozrywce. Młodociane kino nie cieszyło się wtedy wielką estymą, a stosunek zażyłości z niem uchodził za niemal, że wstydliwy. Kino zdobywało sobie zwolna miejsce między rozrywkami, ale w pojęciach ówczesnych, droga do dziedziny sztuki była przed niem daleka. Poglądy te zresztą pokutują jeszcze gdzieniegdzie i dziś, a przejawiają się wtedy, gdy się mówi teoretycznie, że kino „przeszkadza teatrowi" i gdy w praktyce nakłada się na nie ciężkie podatki, aby wlokło za sobą ciężki i skrzypiący w obecnej chwili wóz teatru.

I rzeczywiście kino za naszych młodych lat było prymitywne i niewybredne.

Płótno ówczesnego kinoteatru pokrywało się ciemnymi, trzęsącymi się obrazami. Pełne one były wielkich mebli, panów w uroczystych żakietach, o srogich

przyklejonych wąsach i brodach i pań, którym końce trzewików wyglądały kokieteryjnie z pod długich sukien, a olbrzymie budowle kapeluszy, niby okręty, klatki z ptakami, czy oranżerje, obciążały nadobne główki. Przypominało to wszystko stare ciemne fotografje, odpoczywające w kartach starych familijnych albumów.

Uroczyste te postacie ruszały się w sposób równie uroczysty i patetyczny. Amant oświadczający się podnosił jedną dłoń wysoko ku niebu, a drugą przyciskał do serca. Niewinne panienki mdlały raz po raz, a złoczyńcy, których można było poznać nawet bez listu gończego, przewracali białkami, szczerzyli zęby i wydobywali olbrzymiej wielkości narzędzia mordu.

To samo działo się w komedji filmowej. Tontolini, Fatty Puffy, wszyscy bez względu na narodowość podobni byli do siebie. Różnili się tem, że jeden był niezwykle chudy, a drugi był niesłychanie gruby.

Chudy ustawicznine skakał, podlatywał, wylatywał, a gruby ciążył ku ziemi, wywracał się gdzie tylko mógł, i przewracał wszystko wokoło siebie. Szablon panował zarówno w dramacie, jak i w komedji, tak na polu typów, jak i dekoracyj. Przypominało witrynę u prowincjonalnego fotografa; dwie główki nachylone ku sobie, to nowopoślubiona para, a pan z wielkim wąsem, w zielonym kapeluszu, fuzją i psem nie pozwala, ani przez chwilę wątpić o tem, iż pragnie uchodzić za myśliwego.

Przeskoczmy przez pośrednie stadja i zatrzymajmy się na chwili obecnej. Zobaczmy, jakie rezultaty osiągnął młodzieniec, — któremu przed chwilą przypatrywaliśmy się jako dziecku.

Widzimy, że w momentach popisu stary teatr, do niedawna obojętny i lekceważący, odwraca głowę, poczyna bacznie przypatrywać się młodemu koledze i czy chce, czy nie chce musi z uznaniem skinąć głową. Patrzy na Chaplina jak grą rąk tak wymowną, jak pełen tęsknoty poemat, przy pomocy dwu widelców i dwu skórek chlebowych wyczarowuje na wigilijnym stole czarodziejski taniec.

Patrzy w jego oczy, gdy obdarty włóczęga stoi w roztańczonej szynkowni i jak w cudownem lustrze widzi w nich, to bezmiar radości, to bezmiar rozpaczy, — oto ukochana patrzy z jego kierunku i serce bije w takt tryumfalnego marsza, — ale oto wzrok jej przechodzi przez niego jak przez szybę, aby spotkać się ze wzrokiem stojącego za nim przystojnego dryblasa — co za rozpacz maluje się wtedy w nieruchomej postaci wyrażona jedynie grą oczu.

Albo Norma Talmadge tańcząca w „Damie kameljowej" z kimś niekochanym i posyłająca błagalne pełne bólu i rozpaczy spojrzenia temu, który ją odtrącił i dla którego się poświęciła!

Gra w kinie stała się w swoich najwyższych momentach arcywzorem precyzyjnej subtelności, a przez to siły. Milimetrowy ruch młodzieńca stał się tysiąckrotnie bardziej celowym i wyrazistym od metrów nieopanowanej gestykulacji dziecka.

Kino wyzwoliło się z więzów przesady i patosu, kopiujących nieudolnie teatr.

Nauczyło się gospodarować gestami i minami w sposób najbardziej oszczędny i najbardziej trafny. Odkryło dla siebie tę starą prawdę, że skupiona precyzja bywa najlepszym przewodnikiem wzruszenia i siły.

Precyzja gestów mimiki i ruchów leży w samem założeniu kina świadomego swoich zadań i środków. Jeżeli reżyser teatralny jest w stosunku do aktorów monarchą konstytucyjnym, to filmowy reżyser zajmuje stanowisko dyktatora. On ma w głowie plan całości i on z dziesiątek, ze setek ułamków scen poszczególnych ruchów, gestów wybiera te, które wydają mu się najbardziej celne i trafne. Sztuka aktorska w filmie daje w rezultacie rzeczy ostateczne niezależne od aktora, który może sobie spać w Hollywood, gdy w Australji pękają ze śmiechu przypatrując się jego grze. Aktor filmowy jest materjałem, jest częścią całości, gdy aktor teatralny występując zawsze osobiście, podlegając nastrojom i pomysłom może ustawicznie czynić zmiany, ma w sobie zawsze coś z improwizatora.

Widzieliśmy jak film w wyrazistości swoich momentów umie już na swoim terenie skutecznie rywalizować z teatrem. Zobaczymy teraz, przyglądając się większym całościom i temu, co się ich treścią, czy ideą nazywa, jak młody film dopędza starą literaturę, a zwłaszcza dramat i powieść.

Oto, naprzykład, głęboki i wzruszający film wojenny, a raczej powojenny Lubicza p. t. „Człowiek, którego zabiłem". W drobnym z punktu widzenia wielkich operacyj wojennych fakcie — młody Francuz zabija w ataku młodego Niemca i ze znalezionych przy nim papierów i listów dowiaduje się kogo zabił — odbija się cały moralny ludzki problem wojny z wszystkiemi jego konsekwencjami. Terenem przeżyć wojennych staje się ludzkie sumienie i młody Francuz, któremu ono nie daje spokoju, postanawia uzyskać przebaczenie rodziców swojej ofiary. Jest to nawiązanie akcji, możliwie najbardziej dramatycznej, pełnej ideowego naprężenia.

A potem czarodziejka, którą jest kamera filmowa, przenosi nas do małego miasteczka niemieckiego i wyzwoliwszy się ze swojej dawnej nieruchomości i sztywności zagląda wszędzie, pokazuje wszystko chwyta momenty charakterystyczne, oprowadza nas po terenie akcji w sposób tak konsekwentny i precyzyjny, jak to zwykł czynić dobry powieściopisarz, pomnożony o fotografa, malarza i reportera. Widzimy tedy wąskie stare domy, kręte uliczki, melancholijne, a ozdobne latarnie, przylepione do domów, grube stare mury i bramę w nich, która otwiera widok na rozległą dolinę. A na tem tle wchłaniamy życie małego miasteczka, jego spokój, jego małe wydarzenia, jego ciekawość i plotkarstwo, jego zaskorupiałość i walczące z nią nowatorstwo i jego małe i wielkie konflikty. A dramat tymczasem rozwija się dalej, zaostrza, nabiera cech ogólno - ludzkich.

Ileż treści dramatycznej i powieściowej, ile treści literackiej, ideowej, ogólno ludzkiej, przetworzonej na treść kinową, zdołał film nagromadzić na swoich wąskich taśmach i wyrazić po swojemu, w sposób równie pełny, jak literatura, czy powieść.

Film umie, jak powieść, ogarniać wielkie przestrzenie, umie wzbić się na dramatyczne wyżyny patosu. Każmy mu w dalszym ciągu popisywać się na wyrywki. Film w rękach prawdziwego mistrza umie uśmiechać się subtelnie, umie ironizować na marginesie skomplikowanych faktów i idei, umie być pobłażliwym, widzącym wszystko filozofem.

Pamiętacie pogodnie ironiczne i sceptyczne powieści starego Anatola France'a, kaligraficznie cierpliwe zapiski życzliwego, a bezwzględnego obserwatora na marginesie dziejów i idei? Młody a głośny już dziś na całym świecie reżyser filmowy francuski René Clair wydaje mi się być jego duchowym następcą. Umie tak precyzyjnie i subtelnie grać na filmowem instrumencie, że ten wydaje france'owskie tony.

Film stał się narzędziem o bogatym rejestrze tonów o obfitej palecie barw. Zagarnia i przerabia na swój użytek coraz to szersze tereny rzeczywistości i coraz to większe obszary treści. Idąc swoją drogą dopędza teatr i dopędza literaturę. Wytwarza nową gałąź twórczości powstałą ze swoistego skojarzenia całego szeregu pierwiastków wzrokowych, dźwiękowych, uczuciowych, intelektualnych. Pozwala duszy ludzkiej wyrazić się w inny sposób i na nowej bardzo szerokiej platformie. Pozwala wypowiadać się zbiorowościom narodowym.

Zbliża do siebie odległe społeczeństwa, przemawia do ludzkich uczuć, umysłów w sposób najbardziej oczywisty i bezpośredni.

Wytwarza się nowy wielki teren pokojowej, duchowej rywalizacji między narodami. Każdy z nich wygrywa na potężnym instrumencie filmu swoją własną zasadniczą melodję, a inne słuchają i wypowiadają swoją opinję. Daje Francja czar swojej uśmiechniętej bystrej i trzeźwej lekkości. Daje Ameryka wizję prostą, zmechanizowaną i optymistyczną życia w którem rzekomo tryumfują praca i cnota.

Wygrywa Rosja werbel zaborczej propagandy. Grają Czesi swoją prostą, nieskomplikowaną, pochwałę spokojnego, demokratycznego życia, które nie lubi bohaterskiego patosu, ani arystokratycznej pozy.

A my? My — trzeba to powiedzieć — mimo znacznych technicznych i aktorskich postępów, nie zagraliśmy jeszcze własnej melodji, nie tchnęliśmy jeszcze w cudowne narzędzie filmu swojego ducha. Film polski wciąż jeszcze czeka na tego, kto go zbudzi i wyzwoli, kto go wydobędzie z duszy narodu i jako jej wyraz pokaże światu.

Włodzimierz Jampolski

OSTATNI FILM EVY EVARD*)

Prawdziwym ciosem dla Evy i momentem zwrotnym w jej stosunu do sprawy była relacja obrońcy o wizycie, którą mu złożył kapitan Percin.

Ów oficer przedstawił mu się jako ten, który na podstawie poufnych informacyj ostrzegał oskarżoną i namawiał ją, by nie ufając zawodnej sprawiedliwości urzędowej schroniła się póki czas poza granice Republiki. Wzmiankowany oficer prosił o zawiadomienie pani Evard, że on, kapitan Percin, żałuje obecnie tego kroku, gdyż przekonał się, że wierząc w jej niewinność ulegał zaślepieniu, a oskarżona odrzucając jego radę snać ufała bezgranicznie i lekkomyślnie, że obciążające ją tajemnice są bezwarunkowo dobrze strzeżone.

M-e Lourthier nie uznał za stosowne niepokoić oskarżonej okrutnem i bezcelowem oświadczeniem. O kapitanie Percin oznajmił jej dopiero wówczas, gdy wyczerpał wszystkie argumenty i środki perswacji, aby doprowadzić do opamiętania swawolną i przekorną klijentkę. Szczędząc jej nerwy ograniczył się do krótkiego w paru słowach zawiadomienia o dziwnej wizycie, a widząc, jak piorunujące wrażenie sprawiła ta nowina, starał się osłabić jej efekt, rozwodząc się nad okropnym stanem psychicznym kapitana o poszarpanej twarzy, który wydał mu się kwalifikowanym kandydatem do Charenton i zamilczał o ich długiej rozmowie. Zamilczał i o ostatniej radzie, jaką kapitan przekazał dla Evy, a którą nazwał swojem „żądaniem" — żądał mianowicie, aby Eva, zanim spadnie na nią haniebny wyrok śmierci, co jest zupełnie pewne, ukarała się sama. W tym celu wręczył adwokatowi papierek z jakimś proszkiem, który ten, oburzony, natychmiast w oczach obłąkanego wsypał do kominka, a nawrzucawszy papierów podpalił. Na tem się rozstali, kapitan Percin zerwał się i nie ocierając nawet łez, które mu trysnęły z oczu, wybiegł pędem z gabinetu ku zdumieniu całej kancelarji i klientów w poczekalni.

Od złej wieści zmieniło się wszystko.

Załamała się wiara w zwycięstwo prawdy, odszedł spokój. Skończyła się niepospolita przygoda, która pomimo wszystko była jednak (w pewnym tylko grą, jak dotychczas) stopniu nawet zabawną.

Gdy Evę odprowadzono do celi po konferencji z obrońcą, obie jej przyjaciółki pani Pelouse i panna Tourly były przerażone straszną zmianą w wyglądzie i w zachowaniu się pani Evard. Wiedziały, że trzeba się nią zająć po kobiecemu, wytrącić ją z zapamiętania, oderwać te oczy od nieruchomego skamieniałego zapatrzenia w pustą ścianę, okazać jej serce, współczucie, dużo pytać, dać się jej wygadać, ale żadna nie ośmieliła się przemówić do niej słowa.

Eva niewiele sobie robiła z odstępstwa kapitana Percin i sam on nic dla niej nie znaczył, ale w dziwnem zdarzeniu objawił jej się jakby znak losu, cios wymierzony został ze strony absolutnie niespodziewanej. Jakby odrazu wszystko ją zawiodło... Jakby się obudziła ze snu i spostrzegła dopiero, co się z nią dzieje w rzeczy samej — naprawdę.

Urwało się złudzenie, niedowiary że trwało tak długo! Ze zdumieniem rozglądała się po czterech ścianach celi, badała ukradkiem swoje towarzyszki, jakby dziwiąc się skąd się wzięły.

Czyż nie wiedziała od samego początku, gdzie jest? Tak, ale wszystko się naraz odmieniło, obnażyło się, stało się nielitościwie prawdziwe.

Dawniej, przed okropnym momentem, przeżytym w kancelarji więziennej, czekała u Św. Łazarza na wyjaśnienie głupiego, najgłubszego w świecie nieporozumienia, była tu gościem przelotnym, mogła się bawić absurdalnem intermezzo, wtrąconem przez

* Fragment z 3-go tomu powieści „Żółty Krzyż". Tom ten ukaże się niebawem.

dziki kaprys wojny w jej górne wielkie życie. W istocie pozostawała sobą, zawsze tą samą Evą Evard, po przez mury i kraty więzienia uśmiechał się do niej niedaleki dzień wolności, a dalsze jej koleje słały się bezgranicznie wzdłuż i wszerz świata, pełne rozpędu, swobody i uciechy. Teraz odarto ją z jej przewagi nad Św. Łazarzem — uczuła się zdegradowaną, poniżoną. Znajduje się na swojem miejscu, jest uwięzioną prewencyjnie nie inaczej, a tak samo jak pani Pelouse i panna Tourly i tysiąc innych kobiet, zamkniętych w tym ponurym gmachu. Jej sprawa jest bardzo poważna, a los niepewny...

Obudziwszy się tej nocy, po raz pierwszy poczuła całą swoją istotą ciężar więzienia. Zaczęła ją dławić, jęła się nad nią znęcać świadomość, że jest zamknięta i trzymana pod przemocą, której nic nie odwróci i nic nie ubłaga. Może szarpać za kraty i krwawić sobie palce, może wrzeszczeć w opętaniu, tłuc głową o drzwi, może się tarzać po podłodze, jak to czyniła, grając nieszczęsną cnotliwą Suzy, wtrąconą do więzienia przez intrygę niecnej macochy... W ciągu tej nocy kilkakrotnie całą potęgą woli musiała zwalczać w sobie szalony poryw rozpaczy, która domagała się ulgi, w ostatniej chwili broniło ją czuwające w niej jeszcze poczucie wstydu przed śmiesznością, bo jednak wyprawiając awantury popełniłaby plagjat — odegrałaby jeszcze raz rolę Suzy...

W ciemnościach tej nocy po raz pierwszy zaczaiło się na nią widmo nieznane — strach. Mógł to być sen, mogła być i własna myśl, która z nałogu wyobraźni artystycznej zrodziła się w kształcie fantastycznego obrazu. Grała w karty o straszliwą stawkę z istotą nieodgadnioną, z człowiekiem czy z upiorem, przedzielała ją od niego ściana ciemności, z której wyłaniała się tylko od czasu do czasu biała kościsto-trupia ręka, rzucająca karty, ręka długo dręczy ją, wahając się, ważąc i cofając kartę... Co za obrzydły... jaki potężny strach...

W tej grze ostatnia karta nie była rzuconą, została w trupiem ręku tajemniczego partnera i od tej pory wisiała nad nią ustawicznie, wrosła w każdą jej myśl i gnębiła, nie dając ani chwili ulgi. Napróżno opędzała się od zmory i powtarzała sobie — absurd! Niepodobieństwo! Już utraciła panowanie nad głupią awanturą, sprawa, lekceważona od samego początku teraz brała swój odwet, osaczały ją ciężkie, groźne oskarżenia, z których wyśmiewała się jeszcze wczoraj. Dzisiaj każde z nich wystarczało, żeby ją zmiażdżyć, choć jak i wczoraj była bez winy. Trzymała się jeszcze pozorami dawnej Evy Evard, świetnem udawaniem przed zewnętrznym światem, który zresztą składał się z trzech osób, z adwokata i z dwuch towarzyszek więzienia, ale pomimo swej sztuki łudzenia nie zawiodła nikogo. M-r Lourthier nie poskramiał jej więcej, przeciwnie, zmuszony był dodawać jej otuchy, a gdy radzili w kancelarji więziennej, na górze w korytarzu drugiego piętra w celi Nr. 12 panna Tourly i pani Pelouse zgadywały na tysiąc sposobów co się mogło stać, biadały nad nieznanym ciosem, który ugodził w ich wesołą, pogodną i tak dobrą panią Evard.

— Już tam musieli na nią wyskrobać coś paskudnego, trzymała się, póki i ją nie utrafiło w delikatne miejsce. Te dranie z wojennego sądu — to się szastają po wszystkich dziurach, niczem szczury, ryją pod ziemią jak te krety, jakże tu co utaić, kiedy im ze strachu wszyscy służą i donoszą choć i nie z nakazu, to na amatora, żeby się tylko przypodchlebić.

— Pani Pelouse, dałabyś pani spokój, ja myślę, że ją zdradził jej miły czy coś takiego, a ze sądu ona sobie kpi!

— Każdy sobie może ze sądu kpić, ale do czasu...

— Przecie wiesz pani doskonale, że ona niewinna.

— To i co? Czy to ja zakatrupiłam mojego starego pijusa? Ja też niewinna, ale jak się im w śledztwie pokręci? Jak która jędza z Mouffetard'u — niby to ich mało — naszczeka na mnie przez złość? A — niech się temu aptekarzowi sądowemu pomieszają słoiki z ludzkiemi bebechami i z ekspertyzy wypadnie cudzy arszenik właśnie na mojego nieboszczyka? To i mnie niewinną zasadzą przez tę jędzę albo przez aptekarza... Niewinność przed sądem to jeszcze nie wszystko, przytem nie ma się pieniędzy na lepszego adwokata... Ja powiadam mojemu...

— Adwokata to ona ma najdroższego jaki jest w Paryżu i te parę miljonów też, a i nie łatwa to rzecz skazać bez winy taką osobę, samą Evę Evard — nie to co nas z panią. Włos jej z głowy nie spadnie, jeszcze ją będą przepraszać i ona o tem dobrze wie!

— A ja pani powiadam, że z nią źle! To jej zostało z wczorajszego dnia — śmierć jej patrzy z oczu...

Poczciwe towarzyszki, miłe kobiety, ale nieodłączne i zawsze o każdej godzinie obecne, teraz przeszkadzały Evie straszliwie. Pragnęła pogrążyć się w swoich myślach, odzyskać władzę nad sobą. Taiła się w niej dręcząca zagadka, wszystko się w niej pomyliło, trzeba to było rozwikłać. Nadchodził dzień sądu, ileż pracy wewnętrznej trzeba dokonać do tej pory, żeby stanąć w pełni opanowania i spokoju, okazać sędziom oblicze dostojne, promieniejące prawdą, zdołać i umieć odpowiedzieć odrazu, bez namysłu na każde choćby najbardziej podstępne pytanie, nie zdradzić zmieszania, rozdrażnienia, strachu...

Widząc co się z nią dzieje, obie niewiasty siedziały cicho jak trusie, nie śmiąc się odezwać. To ją drażniło niewymownie, a gdy je rozruszała i rozgadały się po swojemu, było znacznie gorzej. Ciążyła ich ciekawość i współczucie, wzdychania i miłosierne spojrzenia... Zamierzała prosić dyrektora St. Lazare o przeniesienie na parę dni do pojedyńczej celi, ale lękała się również samotności, ciszy i długich ciemnych nocy, bała się wizji i przywidzeń, bała się samej siebie. Mimo wszystko lepiej siedzieć razem choćby dla tego jednego, że nawet w najgorszych momentach musiała panować nad sobą poprostu ze wstydu.

Jej umysł, zawsze lotny i szybki, pracował teraz opornie, nie mogła skupić się na jednem, do swej nieszczęsnej sprawy musiała docierać, przedzierając się przez gęstwinę rzeczy niepotrzebnych, które uwzięły się, żeby co chwila wytrącać ją z celowego myślenia. Napastowały ją wspomnienia i odciągały daleko wstecz, w lata najszczęśliwsze, gdy pierwsze tryumfy rozniosły jej imię po świecie i gdy naraz jak w sztuce teatralnej, jak w powieści, jak w dramacie filmowym, jak we śnie zjawiły się hołdy, wielbiciele, bogactwo...

Zanim przywykła do nadspodziewanego szczęścia, zanim wciągnęła się w swoją wielką rolę, przeżyła momenty ciężkie pod nawałą łask fortuny, z nadmiaru pomyślności.

Rozpłakała się, gdy po raz pierwszy ujrzała się w lustrze u wielkiego krawca z rue de la Paix w no-

wem przebraniu w przepyszną suknię wieczorową, jedną z tych, które oddawna podziwiała z ulicy w oknie wystawowem, nie śmiąc nawet o niej zamarzyć... Pamięta chwilę bezrozumnej rozpaczy, gdy przenosiła się do nowych, pańskich apartamentów na rue Pierre Charron i musiała porzucić swoje ubogie mieszkanko na dalekim, wysokim Montmartrze, na rue Lepic, złożonem z dwuch niemal pustych pokoików na szóstem piętrze w mansardzie, z kuchenką w szafie, z krętemi ciemnemi schodami... Ileż zawodów i trosk przeżyła w tych kątach samotna na świecie w ciężkiej walce o byt, gdy broniła się przed nędzą i przed własną urodą i tysiącem pokus, by nie potknąć się w kwiecie młodości i nie utonąć w zmąconem morzu Paryża... Ileż godzin przegadała, przemarzyła i przepłakała z biednym uroczym Victorem, który wciąż nie mógł znaleźć zajęcia i rozpaczał wraz z nią nad wciąż uciekającym przed nimi upragnionym dniem ślubu... Stanęła po raz ostatni na balkoniku, wiszącym nad otchłanią Paryża i zapatrzyła się na ukochane miasto. Z porannych mgieł jesiennych wynurzały się ku bklademu słońcu szczyty Panthéonu, Notre Dame, Buttes Chaumont, Inwalidów, Etoile, majaczyły na wzniesieniach wyspy domów lśniących dachów, gdy cała dolina, ośrodek, istota, serce Paryża tonęły we mgle, jak za mistyczną zasłoną, która kryła tajemnicę tej godziny w losach miljona istot rojących się taw w dole, a wraz z niemi i losy jej, która patrzy na to i czeka w niepokoju i trwodze odpowiedzi na pytanie o swój dzień jutrzejszy i o to, co z nią będzie w nowem, wielkiem życiu za pięć lat, za dziesięć lat?

Nie ustępowała mgła, uparcie ukrywała się jej wróżba. Znikło słońce, napłynęły nowe tumany, znikały wzgórza, wieże, aż całe miasto zawlokło się pomroką, tylko woddali na zachodzie ukośny promień słońca, na chwilę przedarłszy się przez szczelinę w chmurach, oświetlał posępnie i złowrogo wały, czerwone mury fortu na wyniosłości Mont Valérien. Nie była tam nigdy, wydało się jej, że w pogodny dzień przed samym zachodem Paryż musi stamtąd wyglądać wspaniale w czerwonych, purpurowych pochyłych promieniach słońca... I nagle targnął nią strach przed nicością, przed bezgraniczną pustą przestrzenią, która pożarła miasto, i przed jedyną samotną wizją dalekich murów, płynących w chmurze... Otrząsnęła się jak przed widmem, odwróciła się — pokoik, pozbawiony wszystkich sprzętów, wydał się jej dziwnie ciasny, strasznie wąski i ponury, jak wnętrze trumny, na progu w półmroku stał wierny Victor, teraz już inny, jakby niespodziany i w tych dniach wielkiej fortuny jakby obcy. Za trzy tygodnie już go nie było, zastrzelił się, Eva Evard wkroczyła w swoje wielkie życie.

Nadewszystko trzeba słuchać i to słuchać ślepo w każdej rzeczy M-e Lourthier, bez żadnych wahań i rozstrząsań. Fakty, fakty i fakty! Po raz pierwszy stała się posłuszną, ze swego przemówienia, które zresztą wciąż nie było gotowe, nawet nie napoczęte, wyrzuciła lirykę, patos, gest, wyobraźnię. Chciała być posłuszną, znajdowała w tem nawet pewną ostoję i umocnienie, ale gdy myślała o swojej wielkiej mowie, złożonej tylko z operowania faktami, nie znajdowała dla siebie nic. Gdy w upadku ducha i ze strachu oddała adwokatowi swoją swobodę, została bezbronna. Nie umiałaby się wykręcać samą logiką od absurdalnych zarzutów, nie mogłaby spokojnie i rzeczowo wykładać, że haniebne zbrodnie, które w nią wpierano, polegają na nieporozumieniach i nigdy nie miały miejsca.

Czyż mogła nie odmówić odpowiedzi na pewne pytania, wkraczające w jej sprawy osobiste? Czyż po zamanifestowaniu swych wyraźnych i niezmiennych sympatyj dla Francji mogła zrzec się stwierdzenia swego moralnego prawa do neutralności jako wolna obywatelka Norwegji, kraju niezamieszanego w wojnę? Nie wolno jej było zapuszczać się w dygresje zasadnicze o istocie wojny, która rodzi zbrodnie i potworności w rodzaju jej procesu, gdzie świadczą przeciwko niej cienie i widma, postacie bez imienia i bez twarzy, którym nie może nawet spojrzeć w oczy na sądzie, rozstrzygającym o jej życiu i śmierci?

Właśnie o wojnie, o wojnie, jako takiej, bez związku ze swoją sprawą chciałaby mówić najwięcej, albowiem w samem pojęciu wojny leży sedno zagadnienia winy lub niewinności Evy Evard, możliwości lub niemożliwości intrygi generała Sittenfelda, który z osobistej zemsty, a jeszcze bardziej dla ocalenia swego stanowiska i dalszej karjery może z Berlina, przez dwa fronty dyktować swoją wolę sądowi wojennemu Francji. Mniejsza o jej los, ale ofiarą absurdu wojny pada również godność władz wojskowych Francji, honor armji...

Zdaniem adwokata podobne rozważania na sądzie przynieść jej mogły tylko szkodę, nie jest to bowiem czas ani miejsce dla filozoficznych czy etycznych pouczeń, sąd jednomyślnie obrazi się za pouczenia, nie trzeba zapominać, że ludzie są ludźmi— i tak dalej... Obiecała być posłuszną, ale jej myśli pełne były wojny, zagłębiała się w kontemplacji straszliwego zjawiska, które ogarniało świat i zapominała ze szczętem o własnej sprawie...

W ciągu czterech lat nieraz próbowała zastanawiać się nad istotą wojny, chętnie rozmawiała o tem z mądrymi ludźmi, czasami wpadały w jej ręce trudne i zawikłane traktaty, które usiłowały mierzyć i ważyć ogrom wojny, ale bujne życie nigdy nie dawało jej się skupić. Była świadkiem katastrof i przełomów, męczarni i krzywd całych narodów, czującem sercem bolała nad klęską ludzkości, ale jej wyobraźnię porywało kolosalne szaleństwo świata, dając jej rozkosz wrażeń na podobieństwo ogromnego pożaru lub powodzi, które zabijają i niszczą, ale dają oczom wspaniałe widowisko a duszy dreszcz zachwytu. I ona, jak wielu, których wojna nie dotykała bezpośrednio, gapie wielkich wydarzeń, pożeracze gazet, domagała się na codzień straszliwych nowin, klęsk, trjumfów, hekatomb i nudziła się, gdy na kilka tygodni na frontach zapanował spokój. Wojna ją pochłaniała.

Szukała po świecie jej osobliwości, odmian, zwiedzała kraje koalicji, przypatrując się cierpieniom i wysiłkom narodów w coraz to innej postaci, w nowych warunkach gromadziła kolekcję znajomości, informacyj, wrażeń. Aż wreszcie zapragnęło się jej z widowni przejść na scenę, przeniknąć za jej kulisy i wmieszać się między aktorów wielkiego misterjum. W dumnem przeświadczeniu, że jej wszystko wolno i wszystko jej ujdzie, puściła się w swój wielki wojaż do obozu nieprzyjaciela.

Teraz za to płaci, już wie, że nie wszystko wolno, nie wszystko ujdzie bezkarnie Evie Evard. Pokusi-

ło ją dotknąć się zarzewia wojny, będąc widzem wielkiego pożaru zbliżyła się zanadto do ściany ognia, z pustej ciekawości zajrzała na jedno mgnienie oka do płonącego domu — i oto doznała na sobie zemsty żywiołu... Swoją szaloną zachcianką uraziła poczwarne, potężne bóstwo wojny. Gdyby chcąc zakosztować wojny zakradła się do okopów i przebrana za żołnierza wyszła wraz z innymi do ataku mogłaby zginąć, odnieść ranę lub bodaj wyjść cało — w jej osobliwym wyrafinowanym wypadzie na teren walki spotkał ją los najgorszy, jak gdyby ktoś długo wybierał i układał dla niej mękę i karę, tak jak ongiś obmyślano tortury.

Chciała dokonać czegoś wielkiego — nie zrobiła nic. Chciała oszukać Niemców — Sittenfeld haniebnie wywiódł ją w pole. Z całej duszy pragnęła dopomóc Francuzom — siedzi, zamknięta przez nich w więzieniu i kto wie, czy nie zginie z ich ręki. I ci, i tamci mają ją za wroga.

Komuż służyła?!

Własnej fantazji, jak zawsze i we wszystkiem w ciągu ostatnich dziesięciu lat swego górnego żywota — w sztuce, w sposobie życia, w peregrynacjach po szerokim świecie, w eksperymentach miłości. Ale wojna nie znosi, by z niej czyniono sobie zabawę — oto kardynalny błąd, oto jedyna wina Evy Evard. Za to musi zapłacić, za to trzeba dać głowę...

Andrzej Strug

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Znakomity ekonomista szwedzki profesor G. Cassel, który niejednokrotnie już zabierał głos, jako rzeczoznawca w międzynarodowej sytuacji finansowej, porównywuje Stany Zjednoczone w chwili obecnej z mitologicznym królem Midasem: gromadzą u siebie złoto, ale nie stwarzają przez to dla siebie szczęścia. Uwaga ta, która znalazła wyraz w artykule prof. Cassela na łamach „Svenska Dagbladet", jest najzupełniej słuszna. W zamieszczonej tam analizie sytuacji prof. Cassel dowodzi, że jeżeli W. Brytanja zapłaciła swoją ratę (wynoszącą ponad 95 miljonów dolarów), to tylko dlatego, aby nie dawać złego przykładu swoim własnym wierzycielom. P. Cassel przypuszcza, że Stany Zjednoczone poufnie zwróciły na to uwagę Anglji. Anglo-sasi porozumieli się i... wszyscy muszą płacić. Zdaje się, że nawet Francja nie ocali się od tego losu przez dramatyczne wywrócenie rządu p. Herriot'a w nocy z dn. 13 na 14 grudnia i powołanie gabinetu p. Paul-Boncour'a w dn. 18 b. m.

Tak lub inaczej, wcześniej lub później, ratę grudniową zapłacą wszyscy: zapas złota w departamencie stanu wzrośnie, ale nie przybędzie od tego ani trochę szczęścia i pomyślności w Stanach Zjednoczonych. Oto na łamach new-yorskiego „The Nation" p. Hallgreen odsłania nam kulisy stanu rzeszy w Ameryce Północnej.

Żarliwi obrońcy kapitalizmu dowodzą wciąż, aż do znudzenia, że nieszczęściem głównem jest nie tyle samo bezrobocie, ile pomoc państwowa dla bezrobotnych. Zmniejszyć ją, zorganizować roboty publiczne, na które zapędzi się za małą płacą bezrobotnych, skoszarowanych według jakichś arakczejewowsko - amerykańskich pomysłów, resztę zaś powierzyć opiece inicjatywy prywatnej, samorządowej, czy też „charytatywnej", jak teraz to się mówi, i już wszystko będzie wzorem amerykańskim rozstrzygnięte. Szczególnem powodzeniem cieszą się u nas gorączkowe pomysły robót publicznych, które mają zapędzić do bataljonów pracy tysiące bezrobotnych. Bo to i liczba bezrobotnych zmniejszy się i czynnik fermentu dostanie się pod czujne oko wytrawnych dozorców... Wszystko to niby ma być tak, jak w Ameryce.

O tem, jak to tam jest pisze, wspomniany wyżej p. Hallgreen.

Oblicza on, że od maja 1932 r. pomoc prywatna i samorządowa dla bezrobotnych ogranicza się już tylko do 5% potrzeb, resztę, to jest 95% musi dawać skarb państwa. Na 1933 r. przewiduje p. Hallgreen *dwadzieścia miljonów biedaków* w Stanach Zjednoczonych, licząc najskromniej, (skromniej niż to dotąd można było sobie w Ameryce wyobrazić), potrzeba na ten cel, według p. Hallgreena 100 dolarów rocznie na człowieka, (około 4 centów dziennie na osobę), to jest dwa miljardy dolarów.

Z tej sumy, jak liczy autor, conajmniej 1.600.000.000 dolarów musi dostarczyć skarb Stanów Zjednoczonych.

„Potrzeba jest gwałtowna i olbrzymia" — pisze p. Hallgreen. Oto, jak wygląda stan rzeczy tam, gdzie państwo uchylało się od pomocy dla bezrobotnych i składało ją na inicjatywę prywatną, dobroczynność i zespoły pracy, organizowane z bezrobotnych przez pomysłowych przedsiębiorców, którzy otrzymywali w ten sposób robotnika, płaconego poniżej minimum płacy.

Czy na ten ogrom nieszczęścia pomoże złoto, wyduszone z Europy Midasowem dotknięciem not sekretarza stanu Stimsona?

* * *

Na tem samem zagadnieniem bezrobocia ześrodkował całą swoją uwagę nowy kanclerz niemiecki Schleicher, zwany już popularnie „socjal-generałem". Jego mowa programowa przypadła akurat w dniu europejskich płatności w Ameryce — 15 grudnia.

Mówił nie do parlamentu, którego zręcznie pozbył się do połowy stycznia, lecz systemem, zainicjowanym przez rewolucję rosyjską w 1917 r. — „wsiem, wsiem, wsiem", t. j. przez radjo.

Były w tej mowie momenty, na które mało zwrócono uwagi, a zasługują na nią w znacznie większym stopniu, niż różne dyplomatyczne formułki.

Odżegnał się gen. Schleicher od dyktatury wojskowej i rzucił przy tem takie zdanie, które i poza granicami Niemiec ma pełną wartość:

— Źle siedzi się na bagnetach, to znaczy nie można dłużej rządzić, jeżeli się nie ma za sobą opinji szerokich warstw narodu. A tę opinję taki rząd, jak mój, może sobie zdobyć dopiero przez czyny. Nie mam co do tego żadnych złudzeń".

Dlatego w dalszych wywodach przyznaje gen. Schleicher przedstawicielstwu narodowemu prawo do silnej dozy zdrowej nieufności.

Tak mówi socjal-generał, zabierający się do rozstrzygnięcia sprawy bezrobocia i program swój streszcza w dwu słowach:

„Dostarczyć pracę" (Arbeit schaffen).

Zawcześnie jeszcze orzekać, czy ten program środkami proponowanemi przez Schleichera da się wykonać; środki te — to komisarjat do spraw bezrobocia i kolonizacja wewnętrzna. Odnośni ministrowie i komisarz do spraw bezrobocia mają program przedstawić, a do chwili póki tego nie zrobią będą zamknięci jak kardynałowie na konklawe.

Na razie zanim program zjawi się, generał poszedł drogą ułatwienia życia obywatelom, a więc wprost przeciwną, niż inni mężowie opatrznościowi. Zapowiedział, że nie podniesie podatków, przeciwstawi się obniżce płac i odwoła zarządzenia wyjątkowe nie tylko gospodarcze, ale i polityczne, jak ograniczenie wolności prasy i t. p.

Naturalnie te piękne zapowiedzi podano obok wojskowych gróźb pod adresem komunistów i dołączono do nich

normalny sos nacjonalno-militarystyczny na temat równości zbrojeń.

**
*

Dnia 9 grudnia upłynął rok od czasu wprowadzenia nowej konstytucji republikańskiej w Hiszpanji. Na dzień tej rocznicy władze republikańskie pomimo, że czynniki kontrrewolucyjne jeszcze dają znać o sobie, odwołały różne zakazy i represje. Między innemi cofnięto zakaz wydawania paru pism monarchistycznych i reakcyjnych w Madrycie, w tej liczbie gazetę „A.B.C." Republika czuje się o tyle mocną, że pozwala swoim przeciwnikom tak, jak we Francji mówić i pisać, co im się podoba.

Naturalnie nie osiągnięto ideału, i nic dziwnego, że zasłużony bojownik republikański profesor Miguel da Unamuno w „Heraldo" madryckim z goryczą zauważa: — Zamiast „republiki pracujących wszystkich klas" mamy narazie „republikę urzędników wszystkich klas".

Ale ma rację „Luz" madrycki, gdy wylicza, że w ciągu ubiegłego pierwszego roku nowej konstytucji dokonano dzieł następujących: nietylko rozwiązano zakon Jezuitów i zniesiono budżet wyznań, nie tylko zarządzono wywłaszczenie wielkich obszarników, ale jednocześnie wprowadzono nauczanie świeckie i przeprowadozno reformę rolną; przystąpiono do wprowadzenia w życie ustawodawstwa społecznego w myśl zasady konstytucji, że „Hiszpanja jest republiką parcujących wszystkich klas".

Nie osiągnięto w Hiszpanji doskonałości, ale że wydobyto ten kraj z ucisku i marazmu zarówno duchowego jak materjalnego, to, zdaje się, dla nikogo nie ulega wątpliwości.

**
*

W tym samym czasie, gdy na półwyspie Iberyjskim toczy się spór o to, czy demokratyczna konstytucja republikańska spełniła w Hiszpanji swe zadanie, na dwu innych półwyspach Europy południowej dzieją się rzeczy, na które zbyt spokojnie patrzy reszta świata.

Pomiędzy Italją a Jugosławją od paru tygodni wzbiera z dnia na dzień fala złości i nienawiści. Na wybrzeżu adrjatyckiem Jugosławji — w Dalmacji dokonano istotnie dzieła wandalizmu: poniszczono pamiątki panowania Wenecji, stanowiące bezcenne arcydzieła sztuki.

W odpowiedzi na to z łamów prasy włoskiej padają najdalej idące obraźliwe epitety pod adresem Jugosławji, którą całą oskarża się o barbarzyństwo, z trybuny senatu rzymskiego grzmi osobiście Mussolini. Wprawdzie przyznał, że inteligencja chorwacka potępia tę akcję zniszczenia, ale jednocześnie oskarża o nie „sfery kierujące polityką sąsiedniego państwa", a także „inne czynniki europejskie, które chcą napróżno wzburzyć dotychczasową zimną krew Italji".

Cóż to za inne czynniki? Strzała ta była wymierzona przeciw Francji, o której pisze się w prasie włoskiej, że dyryguje akcją jugosłowiańską przeciw Italji.

Dalekie jest to od zimnej krwi i spokoju; a ponieważ nie wskazuje istotnego winowajcy, mianowicie dyktatorskiego reżimu w Belgradzie, przez to judzi i podnieca swoich obywateli, wytwarzając atmosferę nienawiści, z której mogą wyniknąć nieobliczalne skutki.

Robi się to po obu stronach Adrjatyku, a nikt dotychczas z autorytetem w Europie nie zawołał: dosyć tego!

Bo, któż to ma uczynić? Czy Liga Narodów zgnębiona przez Mandżurję i Gran Chaco? System genewski wszak nie tylko nie dał sobie rady z inwazją japońską do Mandżurji, ale nie może powstrzymać od paru miesięcy wojny toczącej się na płaskowzgórzu Gran Chaco w Ameryce Południowej pomiędzy Boliwją a Paragwajem. Ostatnio jeden z licznych komitetów Ligi Narodów zaproponował, aby walczący przerwali bitwy i oddali spór do rozstrzygnięcia delegatom... pięciu towarzystw geograficznych. Pomysł świetny, ale kto na tych geografów zgodzi się i kto ich... wybierze.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Janowi Z. w Przemyślu. Nie używamy „różowych szkiełek". Można wierzyć w lepszą przyszłość, zdając sobie sprawę ze wszystkich potworności doby obecnej.

Pani Helenie M. w Grodnie. A jednak ukazuje się dużo pięknych i mądrych książek. Kto mówi, że „niema co czytać", nie zajrzał do porządnej księgarni, nie wziął do ręki najnowszych katalogów. Można nawet wyrazić zdziwienie, że w czasach zastoju ukazuje się tyle interesujących i wartościowych wydawnictw. Widać, że księgarze nie tracą nadziei.

Panu H. W. w Łodzi. Dziękujemy za życzenia.

Pani Zofji K. we Lwowie. Zbyt już popularne dla naszych czytelników.

Panu Leonowi J. w Warszawie. Przystąpi się i do tych spraw. Odwagi nam nie zabraknie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Leon Chwistek: Zagadnienia kultury duchowej w Polsce. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1933.

Stefan Żeromski: Dziennik podróży. T-wo Wydawnicze w Warszawie, 1933.

Juljan Tuwin: Biblja Cygańska i inne wiersze. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa, 1933.

Juljusz Kaden-Bandrowski: Mateusz Bigda. Tom I-y: Grunt. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa, 1933.

Tadeusz Zieliński: Świat antyczny. Grecja niepodległa. Z ilustracjami. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa—Kraków, 1933.

Giovanni Papini: Gog. Przekład Antoniny Brzozowskiej. Wydawnictwo Literacko-Naukowe. Kraków, 1933.

Tadeusz Zamoyski: Za kulisami współczesnej chemji. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1933.

J. V. Smejkal: Sfora bieguna południowego. Powieść z Antarktydy. Spolszczyła Marja Bunikiewiczowa. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

W. J. Locke: Stella Maris. Przekład Józefa Maliszewskiego. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa, 1933.

Jack London: Trzy serca. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Arnoldo Franccaroli: Raj dziewcząt. Przekład Władysławy Chotkowskiej. T-wo Wydawn. „Rój". Warszawa, 1933.

Ilja Erenburg: 10 HP. Życie auta. Przełożył Władysław Broniewski. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

F. A. Ossendowski: Miljoner „J". Powieść o dzielnym murzynku - sierocie. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

Stefan Napierski: Obrazy z podróży. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1933.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Prokurator Alicja Horn. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Kazimierz Wierzyński: Granice świata. Opowiadania. Gebethner i Wolff. Warszawa.

TREŚĆ NUMERU:

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na I-y kwartał 1933 r.

Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6. (Konto P. K. O. Nr. 26.630).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2848 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.